
CO ROBIĄ MISIE?

Zagadka zaginionego klucza

NATALIA MANTUR

Zrealizowano w ramach stypendium artystycznego
Prezydenta Miasta Białegostoku



Rozdział I

TAJEMNICZE DRZWI

Na skraju zacnego ogrodu, tam gdzie miasto pachnie historią, stoi pałac z wieloma oknami. Tak wieloma, że nawet słońce czasem się w nich gubi. A w tym pałacu mieszkają dwa misie: Hetman i Hetmanowa. Strażnicy elegancji, porządku i wszystkiego, co dostojne.

W Pałacu Branickich, bo to o nim mowa, wszystko ma swoje miejsce i swój rytuał – nawet poranne ziewanie. Zanim miasto zdąży się dobrze obudzić, Hetman i Hetmanowa odbywają swoją codzienną inspekcję. Ich kroki niosą się po pałacowych korytarzach tak równo i rytmicznie, że można by do nich ustawiać zegarki.

Sprawdzają wszystko: czy zasłony wiszą należycie, czy szyby w oknach błyszczą, czy podłoga jest wypolerowana, czy trawnik w ogrodzie jest równo przycięty.

– Na wszystkie szable, jakże majestatycznie piękny jest nasz pałac. Wszystko jest w nim doskonałe – mawiał Hetman z dumą.

– Otóż to, otóż to! – wtórowała mu Hetmanowa, falując delikatnie wachlarzem.

Hetman i Hetmanowa od zawsze byli absolutnie zakochani w tym miejscu. Znali pałac jak własną kieszeń: każdą salę, każdy obraz, każdy odgłos. Z nieskrywanym zachwytem podziwiali każdy zakątek tego miejsca. Uważali, że świat poza murami pałacu to tylko tło – a prawdziwe piękno kończy się tam, gdzie kończy się ich ogrodzenie.

Tego poranka było dokładnie tak samo. Z tym tylko, że... gdy misie przechadzały się przez jedną z komnat, nagle coś je zatrzymało:

– Hetmanie... – Hetmanowa zmrużyła oczy. – Czy ja dobrze widzę?

– Na wszystkie szable, dobrze widzisz! Cóż to za skandal! – odparł Hetman, łapiąc się za głowę. – Mój wzrok jednakowoż utkwiał w tym szkaradztwie! Kto śmiał poruszyć ten obraz?

Portret Jana Klemensa i Izabeli Branickich wisiał... krzywo. I to bardzo krzywo – był przechylony o minimum trzy centymetry!

– Coś strasznego... Taka sztuka, w takim nieładzie?! – jęknęła z oburzeniem Hetmanowa.

– Natychmiast to naprawię – zadeklarował Hetman z miną dowódcy. – Odzyskam szyk tego pałacu, to się nie godzi inaczej!

I tak właśnie zaczęła się historia, o której jeszcze długo szeptano między komnatami...

Miś Hetman zabrał się za prostowanie krzywo wiszącego obrazu. Wdrapał się na stołeczek, sięgnął łapą. W tej samej chwili stołek zadrżał i – bęc! – Hetman wraz z obrazem runęli na podłogę, a po sali potoczyła się chmura kurzu z pajęczynami.

– Mój Hetmanie! – Hetmanowa podbiegła do męża, wachlarzem rozganiając kłęby kurzu. – Jesteś cały, mój drogi? Poproszę raport o stratach!

– Godność nienaruszona. Futro w normie. Stołek uszkodzony – orzekł Hetman. Otrzeptał się spiesznie i już miał dalej mówić: – No kto to widział, żeby obraz... – gdy nagle coś przemknęło mu przy łapie. Coś małego, coś zwinnego...

Myyyysz!

Pędziła przez salę z czymś w pyszczku – malutkim rulonikiem papieru. Zatrzymała się na sekundę, obrzuciła misie szybkim spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: „kto pierwszy, ten lepszy!” – i hyc! – umknęła dalej.

– Zatrzymać tego... tego złodziejaszka, tego rozrabiakę! – zawołała Hetmanowa. – Zatrzymać tego nicponia, który zaatakował pałacową sztukę!

Hetman chwycił miotłę jak buławę i w te pędy ruszył w pogoń za małym gryzoniem. Mysz biegła po kątach, to mignęła między nogami krzeseł, to pod stołem, to za zasłoną. A potem – i tu oboje zaniemówili – zatrzymała się. Spojrzała na misie, jakby się nad czymś zastanawiała... i celowo upuściła rulonik tuż przy ich łapach.

Potem zniknęła za drzwiami, których... misie nigdy wcześniej nie widziały. A przecież znały ten pałac lepiej niż własne futro!

– Hetmanie... – Hetmanowa podeszła ostrożnie. – Czy my mamy... nowe drzwi?

– Na wszystkie szable! Wszak ich tu nie było! – odparł Hetman, drapiąc się za uchem. – Czy ja zwariowałem... czy nasz pałac zataił przed nami jakąś tajemnicę?

Drzwi były wysokie, drewniane, zamknięte na staromodny zamek – i tak mistrzowsko ukryte za wielkim portretem Branickich, że nikt by ich nie zauważył, gdyby obraz wisiał prosto. Wyglądały, jakby stały tu od zawsze – cierpliwie czekając, aż ktoś je odnajdzie.

Hetman zrobił krok w stronę tajemniczych drzwi, ale Hetmanowa go powstrzymała:

– Patrz. Coś leży na podłodze.

Tam gdzie zniknęła mysz, leżał ten sam rulonik papieru, który wcześniej miała w pyszczku.

– Ot, papierek. Śmieć jakiś błahy... Pewnie rachunek za tapetę sprzed stuleci – burknął Hetman.

Hetmanowa podniosła rulonik ostrożnie i zdmuchnęła z niego warstwę kurzu. W tej samej chwili z pergaminu uniósł się delikatny, złoty pył, który zamrugał w powietrzu jak świetlista mgiełka.

– To nie jest zwykły papierek – szepnęła z zachwytem Hetmanowa. – To mapa...

– Mapa? – Hetman zmarszczył nos. – Mapa czego?

Hetmanowa rozwinęła rulon, a oczom misiów ukazał się stary plan miasta. Ulice Białegostoku były te same jak dziś, ale niektóre miejsca były puste, inne zamazane. A sam pałac... miał na sobie narysowane drzwi. Te same, które właśnie przed nimi stały.

– Hetmanie... – żona spojrzała na niego z niepokojem i ekscytacją. – Coś mi się zdaje, że nasz pałac ma do opowiedzenia więcej historii, niż myśleliśmy...

Hetman spojrzał to na drzwi, to na mapę.

– Na wszystkie szable – mruknął. – Chyba nadszedł czas na inspekcję... całego miasta.

Rozdział II

ZASKAKUJĄCY PORANEK

– Najpierw jednak... – powiedziała Hetmanowa, żwawo machając swoim wachlarzem. – Najpierw musimy się dowiedzieć, co to właściwie za mapa.

A mapa była dziwna.

– Hm... ulice, domy, pałac, wszystko jakby znajome – mruknęła. – Ale niektóre miejsca są... rozmyte?

– Błędy z innej epoki... To pewnie stary ślad po rozlanej herbacie – zasugerował Hetman. – Herbatę też trzeba pić z godnością, nie każdy to potrafi.

– Nie, nie... – Hetmanowa pochyliła się. – Popatrz, to wygląda tak, jakby ktoś celowo coś zakrył. Jakby... mapa nie chciała nam od razu wszystkiego pokazać.

Hetman zmrużył oczy, po czym naprężył się tak mocno, jakby przyglądanie się mapie było potwornie męczącym zajęciem. Wreszcie wyjęczał:

– Ja tu nic nie widzę! Te linie są cieńsze niż nitka w babcinej koronce. Należy się szybko przynieść lupę i świecę! – wydał rozkazy w przestrzeń.

Ale zanim Hetmanowa zdążyła mu przypomnieć, że w pałacu nie mają służby od czasów niepamiętnych – a dokładnie to od kiedy ostatni portier zaginął w czasie lunatykowania (choć plotka głosi, że po dziś dzień błąka się po piwnicach w szlafmocy) – to Hetman już zniknął w korytarzu.

Chwilę później wrócił, sapiąc jak po wyścigu. W jednej łapie trzymał olbrzymią lupę – i to tak olbrzymią, że rozmiarem przypominała talerz na zupe. A w drugiej łapie miał świecę umocowaną w lichtarzu – i to w nie byle jakim, bo francuskiej roboty.

– Proszę – oznajmił z triumfem. – Narzędzia godne dostojnego detektywa.

Hetmanowa rozłożyła mapę na stole, a Hetman postawił na niej świecznik. Lecz gdy tylko ciepły płomień rozświetlił pergamin, na pustym polu pośrodku miasta zaczęło wyłaniać się coś nowego.

– Na wszystkie szable... – szepnął miś. – Toż to...

– Maski – dokończyła Hetmanowa. – Teatralna maska.

– Hola, hola... Ja znam miejsce! – wykrzyknął Hetman. – To Białostocki Teatr Lalek. Przy ulicy Kalinowskiego!

– Ale co to oznacza? Czy ta mapa do nas mówi? A może nas prowadzi?

Hetman pokiwał głową z powagą.

– Tak, tak... Już ja wiem, co ona chce powiedzieć! – zawołał. – To tam jest klucz do naszych tajemnych drzwi. Musimy go odnaleźć.

– Zatem w drogę! – odparła Hetmanowa i szybko złożyła mapę. – Nie ma czasu do stracenia, przed nami piękny wiosenny poranek. Doskonała pora na spacer.

– Jak to spacer? A orszak? A werble? – biadolił Hetman. – Może chociaż koń? Moja droga, wszakże nie godzi się nam chodzić piechotą... Kto to widział?

Hetmanowa uniosła brew, patrząc na panikującego męża. Westchnęła głęboko, po czym oznajmiła bardzo spokojnie i bardzo stanowczo:

– Idziemy... pieszo! Po bruku! Bez eskorty i bez proporców.

I już kilka minut później byli przed pałacem. Powietrze po nocnej burzy pachniało rześko, a nad miastem unosiła się mgła – miękka jak wata cukrowa, przez którą nieśmiało przebijały pierwsze promienie wschodzącego słońca. I gdzieś w pobliżu ktoś już nucił jakąś urokliwą piosenkę.

– Co to za dźwięki? – Hetman przystanął, nastawiając uszu. – Cóż za osobliwa pieśń... Kto śpiewa to „maj, szalala, hej”?

– To Kupidyn – odpowiedziała Hetmanowa, wskazując łapą na misia, który tanecznym krokiem zbliżał się w ich kierunku. – On zawsze nuci tę melodię, gdy wypuszcza swoje strzały amora... Gdyby więcej pracował nad celnością, a mniej nad swoim wokalem, to może by częściej trafiał? – dodała pół żartem, pół serio, coraz szybciej machając swoim wachlarzem.

Miś Kupidyn już z daleka zaczął witać Hetmana i Hetmanową. W jednej łapie trzymał swój łuk, a drugą radośnie machał do pałacowej pary.

– Hetmanowo, Hetmanie! – Kupidyn zawołał z entuzjazmem. – Ależ cudownie pani wachluje to powietrze, aż się zakochać można w bryzie! I pan, panie Hetmanie... To pana futro, ach, aż się prosi, by ktoś je opisał w sonetach!

– Dzień dobry, Kupidynie – odparł Hetman z lekkim dystansem. – Co cię tu sprowadza? Czy nie powinienesz czekać na nowożeńców przed Pałacym Gościnnym?

– Ach, głupia sprawa – przyznał Kupidyn. – Zgubiłem strzałę. Ale za to znalazłem państwa, a czy to nie lepiej? Ha! Losie, ty stary flirciarzu!

– Jakże radosny ten Kupidyn – szepnęła Hetman do Hetmanowej. – Tyle wigoru i to z rana? Może to te jego amory go tak pozytywnie nastrajają... Ciekawa sprawa, bardzo ciekawa...

A zaraz potem dodał już głośniejszym głosem, kierując pytanie do ich nowego towarzysza:

– Kupidynie... Ta pieśń, którą niesie za tobą echo: „maj, szalala, hej” – cóż to za utwór? Nie słyszałem go nigdy.

– Ach, Hetmanie... Jakie dobre ucho! – znowu zachwycił się Miś Kupidyn. – Ten fragment to: „Majn shtetele, majn hejm”. To taka piosenka... Piosenka miłosna! Jest o mojej miłości największej – tak ogromnej, że nawet mnie przerasta.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Hetman. – Wszakże jesteś pan niepoprawny romantyk, miłość cię nie może przerosnąć. A która to panna skradła twe serce? – dopytywał, bardzo zaintrygowany.

– To nie panna – wyjaśnił Miś Kupidyn, uśmiechając się z rozmarzeniem.

Spojrzał w niebo i na chwilę zatopił się we własnych myślach. Na jego twarzy malował się sentyment, ale zmieszany z czymś jeszcze – choć trudno odgadnąć z czym... Czy to nostalgia, czy radość, czy może jakaś... tajemnica?

– Osobliwy to miś. Nie umiem go rozszyfrować – wyszeptał Hetman do swojej żony.

A ona, trochę już zniecierpliwiona, postanowiła zakończyć te rozmowy i czym prędzej wrócić do ich misji. Klucz przecież sam się nie znajdzie!

– Kupidynie – rzekła Hetmanowa. – Powodzenia w szukaniu twojej miłosnej strzały. Zostań tu tak długo, jak potrzebujesz. My z mężem wychodzimy. Mamy pilne sprawy na mieście. – Szybko się pożegnała, złapała Hetmana za łapę i raz dwa pomaszerowała dalej, by jak najprędzej opuścić pałacowe tereny.

Rozdział III

MNÓSTWO WRAŻEŃ

Gdy tylko przeszli przez bramę, w pierwszej kolejności skierowali swe kroki w stronę ulicy Legionowej, która według mapy miała ich poprowadzić przez Skłodowskiej-Curie wprost do Kalinowskiego.

Miasto przywitało Hetmana i Hetmanową mnóstwem wrażeń: swoją energią, pięknem i... odrobiną błota. Hetman spojrzał na nie z obrzydzeniem.

– Niech ktoś posypie to błoto brokatem – mruknął. – Będzie godniej!

Ale zanim zdążył się rozpędzić w narzekaniu, coś znowu przebiegło przed jego łapami.

Myyyyysz!

Ta sama mysz z pałacu! Pędziła chodnikiem, zatrzymała się, spojrzała na misie i... zniknęła za rogiem.

– To ona! – wykrzyknęła Hetmanowa. – To ta mysz zza obrazu!

– Co za tupet! – zbulwersował się Hetman.

– Chyba chce, żebyśmy za nią poszli – stwierdziła Hetmanowa.

– Za myszą?! – wykrzyczał oburzony miś. – Wszak to się nie godzi... My, dostojni strażnicy pałacu, mielibyśmy biegać za tą małą, nikczemną...

Ale Hetmanowa już pędziła za swoją nową przewodniczką i za nic miała uwagi swego męża. Więc Hetman tylko westchnął głęboko i... ruszył za nią.

Mysz prowadziła misie przez miasto, jakby chciała pokazać im wszystko, o czym dotąd nie miały pojęcia: dzieci skaczące w kałużach, elegancką prawniczkę biegnącą do sądu, mężczyznę wychodzącego z domu handlowego z torbą pełną zakupów. Co chwilę się zatrzymywała, patrzyła na nie wymownie, po czym ruszała dalej. Misie podziwiała to tętniące życiem miasto – zdumione, jak wiele się w nim dzieje.

– Spójrz, mój drogi – Hetmanowa przystanęła. – Studenci spieszą na zajęcia, uczniowie do szkoły. Dumą mnie to napawa. Każdy chce być mądry! Czyż to nie wspaniałe?

Hetman się zamyślił. Wyglądał, jakby sam miał zamiar powiedzieć coś bardzo mądrego... ale wtedy mysz znowu mu o sobie przypomniała, skacząc po jego łapach. A już chwilę później siedziała przed wejściem do budynku, zdobionego wielkimi, kolorowymi plakatami.

– Białostocki Teatr Lalek – przeczytała Hetmanowa na pokaźnym szyldzie nad wejściem.

Mysz pisnęła raz jeszcze, jakby mówiąc „jesteśmy!” i zniknęła w szczelinie pod drzwiami.

– No proszę – mruknął Hetman. – Znowu dała nogę. A gdzie pożegnanie? Gdzie etykieta?

Hetmanowa wywróciła oczami.

– Jesteśmy na miejscu. Wchodzimy? – zapytała.

I już chcieli pchnąć drzwi teatru, gdy nagle... drzwi otworzyły się same, a ich oczom ukazał się gospodarz tego intrygującego miejsca.

– Szanowna publiczności! – rozległ się nagle donośny głos. – Akt pierwszy, scena pierwsza: goście przybyli!

Z mroku wyłonił się miś – wysoki, wyprostowany, o przenikliwym spojrzeniu. Na jednej łapie miał pacynkę, a u jego nóg tańczyła marionetka na sznurkach – cała w podskokach, jakby żyła własnym życiem.

– Miś Lalkarz? – zapytała Hetmanowa.

– We własnej roli! – zawołał miś, po czym zmienił głos na piskliwy: – Witamy w naszym teatrze!

– To pan mówił, czy ta lalka? – wymamrotała Hetmanowa, rozglądając się wokół, jakby nie wiedziała, skąd dochodził dźwięk.

– A może to pani? – odszepnął Miś Lalkarz, przysuwając się tak blisko, że Hetmanowa aż zatrzepotała wachlarzem. – Czym mogę służyć? Spektaklem? Herbatą? Historią o mieście, które... – tu zmienił głos na dramatyczny szept – ...żyje w sercach wielu?

– Yyyy... Szukamy klucza – powiedział zakłopotany Hetman. – Do tajemniczych drzwi w naszym pałacu.

– Klucza! – zawołał Lalkarz, a jego pacynka dodała innym głosem: – Wszyscy szukają kluczy! Ale czy wiedzą, dokąd zmierzają?

– Yyyy... Właśnie tego nie wiemy – przyznał Hetman. – Mapa poprowadziła nas tutaj.

Lalkarz zatrzymał się. Spojrzał na nich bardzo poważnie i opuścił lalki.

– Mapa? TA MAPA?! Więc pokazała wam moją maskę... – powiedział cicho. – To wszystko zmienia...

Lalkarz podrapał się po brodzie i pokiwał głową, jakby nagle zrozumiał cel tej wizyty. I jakby wiedział zdecydowanie więcej niż pałacowe misie.

– Ale co to zmienia? – wymamrotała Hetmanowa.

– Otóż ta mapa nie wskazuje symboli każdemu – powiedział szeptem, jakby zdradzał wielki sekret. Po czym ponownie oddał głos swojej pacynce: – Tylko tym, którzy są już blisko... bardzo blisko!

– Zaraz, zaraz... To symboli jest więcej niż ten jeden? – uparcie dopytywała Hetmanowa, próbując rozwikłać piętrzące się zagadki. – I co to znaczy: „tym, którzy są blisko”? Blisko czego? Nic nie rozumiem...

– Rozum to znakomity sufler, ale czasem trzeba dać sercu zagrać pierwsze skrzypce i pozwolić mu improwizować. Taka jego natura – odrzekł Lalkarz, wzruszając ramionami.

Jego słowa brzmiały jak jakaś przepowiednia lub wskazówka. Hetmanowa miała poczucie, że kryje się za tym coś magicznego, choć nie potrafiła jeszcze odkryć, co. Znowu zaczęła szybko machać swoim wachlarzem. Lalkarz klasnął żywo w łapy, wytrącając ją z rozmyślań.

– W takim razie musicie zobaczyć przedstawienie! – zawołał.

I zanim zdążyli zaprotestować, porwał ich za łapy, ciągnąc do małej sali. Światła przygasły, a na scenie pojawiła się kukielka w fartuchu piekarza.

– Dzień dobry, Białystok! – zawołała. – Pora wstawać!

Z drewnianego pieca wyskoczyły rumiane bułeczki na sznurkach. Zaczęły podskakiwać tak energicznie, że Hetmanowi aż zaczęło burczeć w brzuchu.

– Bez śniadania miasto nie ma siły – krzyknął piekarz-lalka. – Piekę całą noc, żeby rano każdy miał energię na spełnianie marzeń!

Światło szybko mignęło. Piekarz zniknął, a na scenę wturlał się kartonowy autobus z napisem: „Jadę prawie wszędzie”.

– Na pokład, białostoczanie! – zawołał kierowca-lalka. – Wstaję przed słońcem, żeby każdy w mieście mógł dotrzeć na czas tam, gdzie zechce.

Z autobusu wyskoczyły następne lalki: pani w fartuchu, pan z walizką, dziecko z plecakiem, staruszka z siatką.

– Do pracy! – Do szkoły! – Do lekarza! – Po ziemniaki! – wołały jedna przez drugą.

Hetman zmrużył oczy.

– Cóż za harmider... Iluż tu bohaterów – wyszeptał zdziwiony. – A jednak... jakoś to wszystko gra. Ciekawa sprawa, bardzo ciekawa...

Światło znów przygasło. Autobus zniknął. Na scenie pojawili się kolejni bohaterowie: nauczyciel, pielęgniarka, sklepikarz, miś, policjantka, strażak, muzyk, gołąb. Codzienne życie miasta odgrywało się na teatralnych deskach, aż... światła ponownie wypełniły budynek. Spektakl się skończył, a lalki zniknęły.

Hetmanowa klasnęła z zachwytem.

– Cóż za zacny scenariusz! – pisnęła. – Tyle postaci, tyle ról... To jak... jak symfonia – dodała ciszej, jakby mówiła sama do siebie. – Każda nuta ważna. Każdy dźwięk potrzebny.

Miś Lalkarz wszedł na scenę i lekko pokręcił głową.

– To nie scenariusz, Hetmanowo – powiedział, kłaniając się nisko. – To życie. Każdy ma w nim swoją rolę...

– Rzeczywiście... – westchnęła Hetmanowa, jakby coś odkryła. – Zdaje mi się, Lalkarzu, że już rozumiem. Przez te wszystkie lata siedzieliśmy w pałacu, myśląc, że to my jesteśmy najważniejsi. A teraz widzę, że może... może jesteśmy tylko jedną z wielu historii tego miasta?

Hetman chrząknął głośno.

– Owszem, bardzo to... pouczające – mruknął. – Ale ja wciąż nie wiem, gdzie jest mój klucz. Ani jednej strzałki, ani jednego X na mapie!

Miś Lalkarz posłał mu ciepły uśmiech.

– Więcej zaufania, mój przyjacielu... – odparł. – Jeśli coś chce pozostać ukryte – pozostanie. A jeśli coś chce być odnalezione... samo wskaże wam drogę.

I nagle, gdy Hetman wymachiwał mapą z wielkim oburzeniem, światła teatru zatańczyły na pergaminie. Tam, gdzie wcześniej była pusta plama, powoli zaczął rysować się nowy znak – smukły kształt gitary.

– Na wszystkie szable! – zawołał Hetman, podskakując jak oparzony. – Mapa znowu coś pokazuje!

– Mówiłem... – orzekł dumnie Miś Lalkarz. – A ta gitara... to już rola pewnego muzyka z Alei Bluesa.

Hetman i Hetmanowa spojrzeli na siebie z szeroko otwartymi oczami.

– Bluesman... – wyszeptali jednocześnie.

Rozdział IV

RYTM MIASTA

Hetman i Hetmanowa wyskoczyli z Teatru Lalek jak z procy, pędząc w stronę ulicy Suraskiej. Mapa wskazywała kierunek, ale nawet nie musieli jej sprawdzać – dźwięki gitary dobiegały z daleka. Miś Bluesman grał i śpiewał, a jego muzyka niosła się po ulicach, jak niesie się wiatr.

– Słyszysz? – Hetmanowa nastawiła uszu. – To tam!

– Cóż za niesforna melodia... – dodał Hetman. – Nie brzmi jak marsz wojskowy. Ani jak polonez. Ani jak cokolwiek, na co da się wejść dostojnym krokiem...

A jednak, mimo swoich narzekań, Hetman nie tylko ruszył za dźwiękiem, ale nawet podrygiwał w jego takt.

– Na wszystkie szable, a cóż to za zapachy?! – miś nagle zwolnił kroku, rozglądając się nerwowo wokół. – Ktoś tu coś pichci...

Hetman i Hetmanowa dotarli do gwarne go miejsca, z którego dochodził brzęk sztućców i rozmów, a przez uchylone drzwi kusił ich aromat rosółku, schabowego i krokietów.

– Ojjoj... Czuję same smakołyki... Słodkie naleśniczki podsmażone na rumiano... – wyszeptał miś, wciągając nosem te kuszące zapachy. – Moja droga, może zrobimy maleńki przystanek? Ot, tylko na trzy talerzyki.

Hetmanowa spojrzała na niego surowo spod swojego wachlarza.

– Nie ma mowy. – Jej głos brzmiał jak werdykt. – Klucza nie znajdziemy w rosole.

– A jeśli... – próbował jeszcze przekonać żonę. – Jeśli klucz ukryto w krokcie? To dopiero byłaby zagadka!

– Innym razem. A teraz w drogę! – ucięła Hetmanowa i pociągnęła go za łapę.

– Ale kiedy... Obudził się we mnie prawdziwy niedźwiedź – mamrotał Hetman, za nic nie chcąc oddalać się od tej pachnącej jadłodajni. – Wszakże zjadłbym co nieco!

I choć żona prowadziła go już w prawo, wprost w Aleję Bluesa, to on jeszcze ciągle wodził wzrokiem za tym apetycznym miejscem. Aż się ślinił na myśl o naleśnikach z twarożkiem.

Tymczasem Miś Bluesman stał na samym środku alei i grał tak głośno, że wszystko wokół zdawało się wibrować w rytm muzyki. Hetman i Hetmanowa podeszli bliżej.

– Dzień dobry! – zawołał Hetman, podnosząc głos, żeby przebić się przez ten hałas.

Ale Bluesman grał dalej.

– DZIEEEEŃ DOOOOBRY, GRAJKU! – powtórzył Hetman, tym razem znacznie głośniej.

Wreszcie Miś Bluesman stuknął łapą w pudło gitary. Przestał na chwilę grać, opuścił swoje przeciwsłoneczne okulary niżej na nos i przyjrzał się misiom.

– O, nieznane mi twarze – wyśpiewał z uśmiechem. – W czym mogę pomóc?

– Szukamy klucza – wypalił Hetman, pokazując Bluesmanowi ich bezcenną mapę. – Bardzo ważnego klucza do bardzo ważnych drzwi w bardzo ważnym pałacu. Czy pan coś o tym wie?

– O kluczach wiem tyle, że bez nich nawet moja gitara nie wiedziałaby, co jest grane – odparł Bluesman i znów musnął struny. – Ale o waszym... nic nie wiem.

Hetman parsknął.

– To jakaś kpina! A więc żadnej konkretnej informacji? – oburzył się. – Za to koncert na środku ulicy, bez partytury! Powinno się tu wystawić orkiestrę, nuty, dyrygenta...

Bluesman z powrotem wsunął swoje okulary i przechylił gitarę. Zagrał kilka swobodnych akordów, zupełnie nie przejmując się komentarzami rozgorączkowanego Hetmana.

– Chcecie tańczyć pod cudzą melodię... – powiedział spokojnie Bluesman. – A nie słyszycie głosu własnego serca.

– A cóż to niby znaczy? – napaścił się Hetman, rozkładając obie łapy i wysoko unosząc ramiona.

– Serce wam wszystko wyśpiewa – odpowiedział Bluesman.

I zagrał głośniej – muzyka była miękka, kołysząca, trochę smutna, a trochę wesoła. Łapka Hetmanowej sama zaczęła tupać. Najpierw nieśmiało, potem odważniej. Wachlarz poruszał się idealnie w takt gitary.

– Hetmanowo, ty... tańczysz? – zdumiał się Hetman.

– Ależ skąd – pisnęła. – To tylko... moje łapy się... poruszyły.

Hetman zmarszczył nos, żeby pokazać, że jego na pewno nic nie wzruszy. Ale po chwili poczuł, że przygrywka Bluesmana przejmuje nad nim kontrolę. I że trudno mu z tym walczyć, bo... w gruncie rzeczy to bardzo przyjemna sprawa!

– Na wszystkie szable... – wyszeptał. – Ta... osobliwa melodia... wprowadza moje futro w miłe drgania.

Miś Bluesman uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz, Hetmanie? – mruknął. – Nie wszystko, co piękne, musi być godne i wystawne. Czasem prawdziwe piękno znajdziesz na zwykłej ulicy, w codziennym gwarze, w radosnym uśmiechu. W rytmie miasta.

Hetman westchnął ciężko – niełatwo było mu to przyznać, ale wreszcie wydukał:

– Może... – zaczął powoli – może masz rację...

I w tej samej chwili na mapę, którą trzymał Hetman, spadły promienie słońca. Pośrodku kartki zaczął pojawiać się nowy symbol. Najpierw łuk, potem drugi... aż ułożyło się z nich wyraźne serce.

– Na wszystkie szable! – zawołał Hetman. – Znak serca!

– A nie mówiłem? – Bluesman mrugnął do nich. – Serce wam wszystko wyśpiewa.

Hetman przyjrzał się dokładniej. Serce widniało dokładnie tam, gdzie – według mapy – znajdował się ich pałac.

– Czyli znowu mamy wrócić do domu?

– Może nie tyle „do domu”, co... do pewnego misia, który przed tym domem się kręci – podsunął Miś Bluesman. – Znam tylko jednego, który o miłości wie wszystko...

– Kupidyn... – jęknął Hetman. – Ten śpiewający romantyk?

– A czy od tych swoich strzał on sam nie jest trochę postrzelony? – dodała Hetmanowa z odrobiną ironii.

Bluesman spojrzał na misie wzrokiem, który wydawał się być reprimendą za ich komentarze.

– Oj, moi drodzy... – powiedział łagodnie. – To, że sami nie rozumiecie Kupidyna, wcale nie znaczy, że jest dziwny. Bez tak dobrych osób jak on świat grałby o wiele smutniejszą melodię.

Hetman i Hetmanowa zamilkli na moment. W ich oczach pojawiło się zakłopotanie – zupełnie słuszne. Obojgu zrobiło się wstyd, że przed chwilą skrytykowali Kupidyna. To przecież było niegodne!

– Kupidyn odgrywa tu kluczową rolę – dodał Bluesman, delikatnie szarpiąc jedną strunę. – To on ma ostatnią nutę waszej piosenki.

Rozdział V

NAJWIĘKSZE ODKRYCIE

Hetman i Hetmanowa pobiegli z powrotem w stronę pałacu – ale tym razem znacznie szybciej niż rano, bo Hetman wreszcie całkowicie zapomniał o dostojnym kroku.

– Na wszystkie szable, nie wiedziałem, że potrafię tak szybko biegać! – sapnął.

Mapa wskazywała im miejsce, gdzie rano widzieli Kupidyna.

– Mam nadzieję, że on jeszcze tam jest – wymamrotała zmęczona Hetmanowa.

– Pewnie wciąż szuka tej swojej zaginionej strzały – odpowiedział jej mąż.

Ale gdy dotarli na miejsce, Kupidyna nigdzie nie było.

– Mamy problem! – wykrzyknął Hetman, rozglądając się wokół. – Gdzie ten amorek się podział?

Hetmanowa rozwinęła mapę. Serce na pergaminie zaczęło migotać, rozświetlać się i pulsować, jakby naprawdę... biło.

– Mapa pokazuje... – zmrużyła oczy – ...pałac. Ale nie tutaj. Popatrz... wskazuje tę salę!

– Tam, gdzie są tajemnicze drzwi? – Hetman aż uniósł brwi. – W środku?

I wtedy ponownie usłyszeli dobrze już im znany, radosny śpiew Kupidyna: „Majn shtetele, majn hejm”.

– To on! – szepnęła Hetmanowa. – To jego piosenka!

Ruszyli za melodią. Głos Kupidyna wiódł ich przez główne wejście, przez korytarze... aż wrócili do tej samej sali, gdzie wszystko się zaczęło. A tam, przed tajemniczymi drzwiami, stał Miś Kupidyn. Znowu w jednej łapie trzymał łuk, ale w drugiej miał... strzałę. Tę samą, którą rano rzekomo zgubił.

– Kupidynie? – odezwała się niepewnie Hetmanowa.

Miś obrócił się powoli. Wyglądał, jakby wcale nie był zaskoczony. Jakby... czekał.

– Hetmanowo. Hetmanie – powiedział ciepło. – Dotarliście.

– Dotarliśmy? My ciebie szukaliśmy! – wyjaśnił Hetman. – Mapa pokazała serce i...

– Wiem – przerwał mu grzecznie Kupidyn. – Mapa pokazuje serce tym, którzy są gotowi je otworzyć.

Hetmanowa wpatrywała się w niego oszołomiona, całkowicie bez ruchu – nawet przestała wachlować!

– Ty... ty wiedziałeś? Od samego początku?

Kupidyn skinął głową.

– Wiedziałem. Obserwowałem was cały dzień. Widziałem, jak odkryliście drzwi. Jak poszliście do Lalkarza. Do Bluesmana. I jak zaczęliście... rozumieć.

– Rozumieć co? – zapytał Hetman.

– Że miasto to nie tylko pałac – powiedział. – Że piękno nie kończy się na waszym ogrodzeniu. Że każdy mieszkaniec ma swoją historię. Że każda nuta jest potrzebna. I że aby pokochać miasto... trzeba je naprawdę poznać.

Wreszcie wszystko złożyło się w całość. Wreszcie wszystko było jasne! Hetman patrzył na Kupidyna jak na jakieś objawienie.

– Ta piosenka – powiedział Hetman. – „Maj, szalala, hej”... To nie jest zwykła piosenka, prawda?

Kupidyn uśmiechnął się.

– Tak, nie jest zwykła. To zaklęcie – pieśń miłości do miasta. Śpiewana przez tych, którzy je kochają całym sercem. I to właśnie ta miłość... – uniósł strzałę – ...otwiera drzwi.

– Czekaj – zatrzymał go Hetman. – Chcesz powiedzieć, że ty... że cały czas ty byłeś strażnikiem tych drzwi?

– Od wieków – potwierdził Kupidyn. – Dlatego strzelam do nowożeńców. Nie po to, by się kochali nawzajem – ale by pokochali to miejsce. Żeby zapuścili w nim korzenie. A każdy, kto to zrobił, posadził drzewo. Teraz wiecie, dlaczego Białystok jest tak zielony. To miasto miłości.

Hetman pokręcił głową z niedowierzaniem:

– Więc przez cały ten czas, gdy myśleliśmy, że jesteś trochę... dziwaczny...

– ...byłem genialny – dokończył Kupidyn z uśmiechem.

Hetmanowa zakryła pyszczek łapami.

– Fenomenalne... – wyszeptała.

– Te drzwi... – dodał Kupidyn – ...otwierają się tylko przed tymi, którzy naprawdę pokochali Białystok. Nie tylko pałac. Całe miasto.

– Więc... klucz...

– Klucz to miłość – wyjaśnił miś. – I wy już go macie.

Wtedy Kupidyn naciągnął cięciwę łuku i wycelował swoją miłosną strzałę prosto w dziurkę od klucza. Zamek rozbłysnął. Złoty pył rozsypał się wszędzie wokół. A same drzwi... powoli zaczęły się otwierać.

Z wnętrza płynęła radosna muzyka balu. Hetman i Hetmanowa stali jak zahipnotyzowani – jeszcze nigdy nie widzieli czegoś tak spektakularnego.

– Co... co tam jest? – wyszeptała Hetmanowa.

– To, czego pragnęła Izabela Branicka. Dlatego wypowiedziała swoje zaklęcie – powiedział Miś Kupidyn. – To chwila, która trwa wiecznie. Bał, który nigdy się nie kończy. Dla tych, którzy naprawdę pokochali to miasto – tak jak ona.

Hetmanowa spojrzała na Hetmana. Hetman spojrzał na Hetmanową. I razem, trzymając się za łapy, przekroczyli próg.

Za tajemniczymi drzwiami ujrzeli wielką, przepiękną salę skąpaną w złotym, cudownym pyle, który unosił się jak delikatna mgiełka. Na parkiecie wirowali Jan Klemens i Izabela Braniccy, nowożeńcy, damy w szerokich sukniach, kawalerowie w kontusikach – wszyscy tańczyli lekko, miękko, jakby byli utkani z samej melodii.

A na długim stole, tuż przy misternie rzeźbionej paterze, siedziała ich psotna mysz. Trzymała złoty puchar i piła z niego maleńkimi łyżkami jak największa znawczyni trunków. Kiedy zauważyła misie, uniosła go jak do toastu i pisnęła:

– No wreszcie! Spóźniliście się tylko... jakieś dwieście lat!

Hetman i Hetmanowa roześmiali się głośno – naprawdę, szczerze, z całego serca. Zniknęła ich surowość i cały nadmiar powagi. Hetmanowa przytuliła męża. Hetman spojrzał na nią, na tańczące pary, na złoty pył jak z bajki – i wyszeptał:

– Moja droga... chyba zaczynam rozumieć, że życie to nie tylko ten porządek i polonez.

– Och, Hetmanie – odparła Hetmanowa z serdecznym błyskiem w oczach. – Życie to magia. Magia, która... wszędzie się wyłania.

Tej nocy, w tym tańcu, w tej złotej poświacie, Hetman i Hetmanowa odkryli coś, czego nie dawał im nawet cały ich wytworny pałac. **Odkryli swoje miasto. A wraz z nim – że ich serca biją w jego rytmie.**

KONIEC
